

Trzeba rozwalić chiński mur, którym nauczycielstwo odgradza się od społeczeństwa, i zbliżyć oświatę do samorządu

## Skurczenie budżetu oświaty -- to przytłoczenie oddechu Polski

W doniosłej i palącej sprawie zabiera głos

b. Premier i b. Minister Skarbu Władysław Grabski

W szeregu tak zwanych „bieżących i aktualnych” spraw naszego życia odsuwa się, niestety, na plan dalszy

sprawę bodaj najważniejszą, a mianowicie: sprawę oświaty, rozumnej i celowej oświaty polskiej. A wszak ta sprawa w pierwszym rzędzie

rozstrzyga o naszej przyszłości! Przed kilku dniami podniósł głos w tej arcyważnej sprawie na łamach dwutygodnika „Drogi Naprawy”

b. Premier i b. Minister Skarbu Władysław Grabski.

Głos tego człowieka, który jest w Polsce uosobieniem szlachetnego i mądrego patriotyzmu,

zasługuje na uwagę najszerzych warstw społeczeństwa, i dlatego podajemy go do wiadomości ogółu i... czynników miarodajnych.

Jesteśmy w tragicznym położeniu: musimy oszczędzać i z konieczności

oszczędzać na oświacie.

przytłaczając w ten sposób oddech Polski i zagrażając Jej przyszłości.

Ale dlaczego tak się u nas dzieje, że ciężar wydatków na oświatę na swych barkach

dźwiga wyłącznie Państwo?

Dzieje się tak dlatego, że nauczycielstwo odgradziło się od społeczeństwa

chińskim murem,

odsuwając samorządy od jakiegokolwiek udziału w sprawach, dotyczących oświaty.

A przecież społeczeństwo nigdy nie skapotało grozą na cele oświatowe, gdyby przez samorząd powiatowy lub miejski

brało bezpośredni udział w

kierownictwie prac oświatowych i miało rzeczywisty wpływ na kierunek i sposoby nauczania.

Niedobrze się dzieje z naszą oświatą! Każdy to wie dobrze z doświadczenia. Oświata winna

służyć życiu,

a nie skostniałym formułkom i oderwanym od rzeczywistości programom.

Rodzice, posyłający dzieci do szkół, nieraz kosztem odejmowanego sobie od ust kawałka chleba, słusznie się domagają reformy naszych stosunków oświatowych.

Ale domaga się też tego dobrze i na dalszą metę zrozumiany

interes Rzeczypospolitej.

Najwyższy czas, aby o tych sprawach pomyśleć i zabrać się do ich przeprowadzenia.

Niech samorządy przejmą część wydatków państwowych na oświatę!

Niech Państwo przekaże samorządom pewne źródła dochodowe na ten cel, a zasile je na miejscu dalsze wpływy!

Niech samorządy więcej się zmagają z sprawami oświatowymi!

Niech zniknie mur, odgradzający nauczycielstwo od społeczeństwa!

Niech oświata w Polsce służy życiu i jego potrzebom na potęgę i chwałę imienia polskiego!

## „ABC” przeświecła drożyznę Jak ludzie różnych zawodów ją odczuwają?

Fiekarze

P. Leon Perzanowski

spożywczych, a chleba w pierwszym rzędzie.



W drożyznie, jaka trapi obecnie wszystkich, niepoślednią rolę odgrywa drożyzna artykułów

Zwróciliśmy się do jednego z ważniejszych przedstawicieli przemysłu piekarskiego, p. Leona Perzanowskiego, współwłaściciela piekarni „Nowej”.

— Drożyzna ogólna stoi w ścisłym związku z drożyzną chleba — zaczyna mistrz Perzanowski.

— Nie można jednakże zwać winy za ceny chleba na piekarzy. Zło leży w pierwszym zębie w stosunkach podatkowych. Jeśli weźmiemy jeden bochenek chleba, to okaże się, że przy wyprodukowaniu jego kupiec zbożowy zapłaci podatku 2 i pół proc., młynarz, piekarz i sklepikarz po tyleż, wypada więc, że sam podatek cładowy wyniesi 10 proc., czyli że od bochenka chleba piaciemy 6 gr. podatku! Jeżeli do tego dodamy inne podatki oraz niesłychanie drogą robociznę, to okaże się, że wysokie ceny są uzasadnione.

— Co do spożycia chleba, to nie zmniejszało się ono od czasów przedwojennych. Ludzie chleba muszą jeść zawsze. Wypiekamy tylko teraz wiele mniej gatunków luksusowych. Dokuczają nam często rozporządzenia Komisarjatu rządu, który np. zabronił nocnego wypieku. Ale z tym wypiekiem rzecz ma się tak samo, jak z sobotnim wyszynkiem alkoholu: próczkół nam czasem robią, ale my w nocy piec musimy, bo publiczność żąda

nienia z morderstwem na tle politycznym. Inżynier Sachnowski bowiem był emigrantem z bolszewii, miał kontakt z emigrantami rosyjskimi, między którymi znajdowały się wybitne postacie ze świata politycznego.

Wśród jadących tym pociągiem pasażerów podobno miano widzieć tajemnicze panie, a właściwie przebranych mężczyzn, o których onegdaj podawało „ABC”.

## Rabunek czy mord polityczny?

Okrwawione zwłoki na torze kolejowym

Onegdaj o godzinie 6 minut 30 wieczorem posterunkowi VI posterunku kolejowego za dworcem głównym, patrolujący swój rejon, znaleźli tuż około toru kolejowego leżącego na ziemi bez oznak życia, przypuszczalnie 50-letniego, wytwornie ubranego mężczyznę z licznymi ranami na głowie. Niezwłocznie wszczęte dochodzenie ustaliło, iż jest to mieszkaniec Warszawy (Miodowa 23), znany inżynier Borys Sachnowski, lat 49, przy którym znaleziono bilet I klasy na pociąg pospieszny z Torunia do Warszawy i w bocznej kieszeni biletu wizytowy z jego własnym nazwiskiem. Gdyby nie ten bilet, trudno byłoby ustalić czy-

je to są zwłoki, gdyż żadnych innych papierów przy s. p. Sachnowskim nie znaleziono.

Rodzina zamieszkała przy ulicy Miodowej poznała zwłoki inżyniera Sachnowskiego.

wobec czego tożsamość osoby nie ulega już najmniejszej wątpliwości.

Po oględzinach lekarskich wynikło przypuszczenie, że Sachnowski wyskoczył z pociągu w biegu i poniósł śmierć na miejscu. Na to wskazywały jakoby rany na głowie od uderzenia o ziemię.

Wczoraj jednak władze śledcze przysłyły do innego zdania, a mianowicie, że jest to mord rabunkowy, lub polityczny, a to z następujących względów:

Po pierwsze tak zrównoważony człowiek, jakim był inżynier Sachnowski nie mógłby skakać z pociągu i to na kilka kilometrów przed Warszawą, do której podołał.

Na morderstwo rabunkowe mogłyby wskazywać te okoliczności, że przy Sachnowskim nie znaleziono żadnych pieniędzy. Wiadomo, że inżynier Sachnowski woził zawsze ze sobą, dość poważne sumy. Rabusie mogli go wysledzić, wiedząc, że wiezie większe pieniądze zamordować w pociągu i następnie wyrzucić oknem z przedziału wagonu.

Jednak najwięcej szans wiarygodności ma trzecie przypuszczenie, że ma się tu do czy-

BOLESŁAW ORLIŃSKI.

(22)

Przedruk zastrzeżony.

Copyright by „ABC” Warszawa.

## Mój lot Warszawa-Tokio-Warszawa

Zbudzony o czwartej rano, w dniu 11 września, spostrzegłem, że było jeszcze zupełnie ciemno. W okresie tym dzień skraca się już intensywnie. Nawet w kwitnącej Japonii szybko zbliżała się jesień.

Gdy wyszedłem z gmachu oficerskiego hotelu, na lotnisku ogarnęła mnie aksamitna ciemność. W dali na lotnisku dostrzegłem swój samolot, oświetlony z różnych stron reflektorami. Wyglądał zupełnie jak wierne, rozsądne zwierzę, które miało za chwilę nas nieść ku granicom ojczyzny.

Biedny samolot! Czy mógł on przypuszczać, że w dniu tym oczekuje nań tak potwornie ciężka praca!

Punktualnie na godzinę 5 rano przybyli na lotnisko, by mnie pożegnać, generał — zastępca ministra wojny, drugi generał — dowódca szkoły lotniczej, prezydent miasta Tokorozawa, oraz szereg dygnitarzy, z którymi miałem możność zetknąć się dni poprzednich. Fotografowali z ostatnich chwil mego pobytu i fotografowali zawzięcie samolot i nas z Kubikiem.

Na miejscu, na lotnisku urządzono śniadanie. Podczas którego z kielichem szampana w dłoni jeden z generałów żegnał mnie serdecznie, prosząc, by lotnicy polscy i w przyszłości na swoich szlakach powietrznych uwzględniali drogę, do Tokio prowadzącą.

Jeszcze kilkadziesiąt uścisków życzliwych dłoni, ostatnie życzenia szczęśliwej drogi, ostatnie okrzyki zagłuszone już hałasem raźnie pracującego motoru.

Mechanicy wyjęli hamulce z pod kół. — maszyna ruszyła z miejsca...

Gdy uniosłem się do góry zrobiłem wiraż, by rzucić okiem na Tokorozawę. Lecz miasto już utonęło we mgłę porannej.

Szare, postrzępione chmury, widocznie resztki jakiejś wielkiej ulewy, przeграżały nam drogę i utrudniały orientację. Najlepszym drogowskazem przy jasnej pogodzie byłaby Fuzi-jama, teraz zaś musiałem namyślać się nad sposobem wyminięcia jej. Wziąłem więc kierunek według kompasu i przez pewien czas leciałem w tej szarej masie.

Po upływie pół godziny spostrzegłem nad sobą okno. Nie namyślając się ani chwili wyleciałem ponad chmury.

Cudny widok przedstawił się moim oczom. Wschodzące słońce różowymi promieniami oświecało bezgraniczne pole białych, zledek faliści obłoków. Jak okiem sięgnąć, widoczne były tylko te różowe fale zwarte i milczące. A nad tym oceanem wznosiła się śnieżno-biała korona świętej góry Fuzi...

Od Fuzi-jamy skręciłem na południowy zachód. Zamierzałem lecieć tym samym szlakiem, co i w tą stronę, — na Osaka, Okajamę do Heidzio.

Pogoda jednak nastęrczała poważne trudności. Chmury znajdowały się na coraz wyższym poziomie. Już przed Osaka musiałem lecieć na poziomie 1.500 metrów. Nad samą Osaka spotkałem burzę, która zmusiła mnie do wzniesienia się na 2.500 metrów.

Od Osaka poszedłem już prosto na zachód, by przeciąć Japonię, morze Japońskie i wylecieć na brzeg koreański najbliżej Heidzio.

Jakkolwiek znajdowałem się jeszcze nad lądem, utraciłem łączność z ziemią. Lecąc wśród oparów, unoszących się nad obłokami, czasem tylko, gdy chmury się przerywały, widziałem przez otwór ziemię. Mo-

głem skonstatować tylko, że jestem jeszcze nad lądem, lecz w którym miejscu, — tego stwierdzić nie byłem w stanie. W pewnej chwili jednak spostrzegłem, że chmury zaczęły rozrzedzać się. Skorzystałem z tego by zniżyć lot. Gdy chmury skończyły się, ujrzałem strome skłisły brzeg i spienione fale.

— No, chwała Bogu, — pomyślałem sobie, — przynajmniej nad morzem lot będę miał spokojny, a tam jeżeli wyjdę na brzeg koreański, gdzie należy, bez trudności dotrę do Heidzio.

Nie upłynęło jednak pół godziny na takich ślankowych rozmyśleniach, gdy dostrzegłem przed sobą ciemno siną masę. Leciłem prosto na wielką burzę...

Chmury, które zalegały ze wszystkich stron, widnokrąg nie nasuwały możliwości ucieczki w którąkolwiek stronę. Od brzegu odleciałem już ze sto kilometrów, — postanowiłem spróbować przebić się prosto, przez burzę.

Po kilku minutach znajdowałem się już pośród skłębionych siwych chmur, posuwających się szybko w kierunku przestopadłym do linii mego lotu. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, że aparat mój uderzył w mur wodny. Ulewa była tak gęsta, że nie można było rozróżnić smug. Nasze określenie „leje jak z cebra” w porównaniu z tą ulewą jest chyba rosą majową.

Oстрым wirażem wylazłem z tego słupa wody i lećąc wzdłuż ulewy starałem się znaleźć jakieś w niej przejście. Kilkakrotnie już mi się wydawało, że będę mógł przedostać się przez burzę, lecz za każdym razem po kilkunastuminutowym zmaganiu się musiałem wycofać się. W pewnej chwili spojrzałem na zegarek: już trzy godziny trwała ta walka z mokrym żywiołem. Postanowiłem więc zawrócić do Japonii.

(C. d. n.)